

MERCÉ

RODOPEDA



I ŚMIERĆ WIOSNA

Przełożyły Anna Sawicka
Magdalena Pabisiak

MARGINESY

This book was translated with the help
of a grant from the Institut Ramon Llull



La mort i la primavera

COPYRIGHT © Institut d'Estudis Catalans

Published by agreement with Casanovas & Lynch Literary Agency,
Spain and Book/lab Literary Agency, Poland.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY
Anna Sawicka

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY
Magdalena Pabisiak

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY
Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2026

Cette voix sans corps qui rien ne sçaurait taire

RONSARD

Śmierć i wiosna to powieść, nad którą autorka długo pracowała, zmieniała wersje, a która opublikowana została dopiero po jej śmierci.

W wersji, z której dokonaliśmy przekładu, wydawca tej „wersji ostatecznej” wprowadza uzupełnienia, oznaczając je w sposób następujący:

- w nawiasach kwadratowych [] jest tekst, który autorka przekreśliła, ale nie zastąpiła go inną wersją, potrzebną do zachowania ciągłości;

- w ukośnikach // jest tekst odręcznie dopisany przez autorkę na maszynopisie;

- w nawiasach ostrokątnych < > wydawnictwo na własną odpowiedzialność uzupełniło pojedyncze słowa, pominięte w oryginale, ale niezbędne do zrozumienia sensu.

CZĘŚĆ PIERWSZA

...wtedy zostawiłem ubranie na trawie i zanim zanurzyłem się w rzece, przyjrzałem się barwom, jakie kładło na niej słońce, i tym, jakich używało jej niebo, i całemu temu światłu, które już było odmienne, bo po życiu utajonym w ziemi i w gałęziach wróciła wiosna. Zanurzałem się w wodzie bardzo powoli, wstrzymując oddech, wciąż pełen lęku, że powietrze, kiedy pogrążę się w wodnym świetle, pozbawione tej nieznacznej drobiny, jaką jestem, mogłoby się rozgniewać i przemienione w wiatr, uderzyć z taką siłą jak w zimie, kiedy niemal miażdżyło domy i ludzi. Wybrałem najszerszą część rzeki, najpłytszą, leżącą najdalej od wioski, gdzie prawie nikt nie chodził, ponieważ nie chciałem, żeby mnie widziano. Woda toczyła się pewna siebie owym ciężarem, którego nabierała za sprawą górskich śniegów i tych wszystkich źródeł, które tryskały ze szczelin skalnych, wydobywając się z mroku. Woda, połączona obłądnym pragnieniem, żeby się zjednoczyć, spajała się w rzekę.

Kiedy minąłem stajnie i zagrodę dla koni, zdałem sobie sprawę, że wraz z fetorem gnoju i zapachem glicynii, które już otwierały pąki, podąża za mną pszczoła. Woda

była zimna, rozcinałem ramionami, kopałem nogami tę zimną wodę, zbryzganą słońcem, które, obdarzone występną mocą latania, rodziło się ponad Wysokimi Skałami. Zanurzyłem głowę w wodzie, żeby pszczoła zgubiła mój trop; wiedziałem, że istnieją stuletnie pszczoły mądrale. Pod spodem wszystko było mętne; szklany obłok, który zwrócił moje myśli ku szklistym kulom na podwórzach, pod najgrubszymi rozgałęzieniami pnących się po ścianach glicynii. Zimą, zaszyci w jadalniach zarumienionych ogniem wznoszącym się przez komin, robiliśmy pędzle z końskiego włosia, mocując je drutem na drewnianych trzonkach. Kiedy się z tym uporaliliśmy, wyruszaaliśmy, mężczyźni i wyrostki, po czerwoną glinę na Maraldinę, górę obrośniętą wrzoścem i wichrem wyjącym wśród zarośli.

Schodziliśmy do groty, trzymając się liny z węzłami przymocowanej do kołka białego u wlotu. Nasz przewodnik niósł latarnię. Spuszczaliśmy się w głąb wilgotnego czarnego szybu poprzecinanego połyskliwymi pręgami, które gasły, w miarę jak otwór nas pochłaniał, i wchodziliśmy, półżywi ze strachu, jeśli to był nasz pierwszy raz, do jaskini czerwonej i grząskiej jak gęba chorego, który dłużej już nie pociągnie. A po powrocie do wioski składaliśmy worki pod zadaszeniem, w oczekiwaniu na ładną pogodę, kiedy będzie można wymieszać czerwony pył z czystą wodą i uzyskać różową farbę, którą zmywała zima.

Wychodziliśmy o pierwszym brzasku i na Maraldinie zawsze wiało. Ze zbocza widzieliśmy zagrodę dla koni.

Wszystko, co mogłyby robić one, robiliśmy my. My jedliśmy konie. I ze względu na to, jak zabijali je mężczyźni z rzeźni pod komendą starszego od puszczenia krwi, mięso było tak łykowate, że smakowało jak drewno. Kiedy schodziliśmy z Maraldiny, wiatr, który podczas wspinaczki spychał nas w dół, przy zejściu pchał nas pod górę, zaczajony pośród zarośli plątał nam nogi i zadawał ciosy w pierś. Starzy tłumaczyli, że wiatr z Maraldiny jest inny, że to podmuch dusz, dusz Karamenów, którzy umarli bez cementu. Świętowaliśmy mieszanie pyłu z wodą, malowanie domów, a także pni i gałęzi glicynii na różowo, wspólny kolor wszystkich domów z wyjątkiem jednego: domu pana, który mieszkał na szczycie wzgórza przeciętego urwiskiem, okrytym dzikim winem, które jesienią rozpalało się, by zginąć.

Wynurzyłem głowę z wody. Światło stało się silniejsze. Odwlekałem chwilę wyjścia z rzeki. Woda mnie obejmowała, wzięłaby mnie sobie, gdybym na to pozwolił, i zużyty, wyspany trafiłbym gdzieś, gdzie wszystko się kończy... Wyciągnąłem się na trawie. Pszczoła, po tak długim locie, widocznie zgubiła mój trop. Batalion pajaków tkął sieć od gałęzi do gałęzi i mnóstwo owadów uwięzło i usychało w jej niciach. Zerwałem pęd polnej róży; pośród białych części łodygi u nasady korzeni tej rośliny mrówki chętnie kopią sobie jamki. Na łodyżce wisiały bryłki ziemi, po dwie, po trzy wisiały. Obróciłem roślinę w palcach i trzymając za koniec, położyłem sobie na kolanie. Była chłodna. Kiedy się rozgrzała, pstryknąłem w nią, żeby ją otrząsnąć z resztek ziemi, a potem odrzuciłem bardzo daleko. Przede mną widniał las pełen mroku; to był las, do którego czasami chodzili dorośli, a kiedy się tam wybierali, zamykali dzieciaki w drewnianych kredensach. Ledwie dało się oddychać przez dwie gwiazdy, po jednej na każdym ze skrzydeł drzwiczek, takie otwory jakby okienka w kształcie gwiazdek. Raz spytałem chłopaka

z sąsiedniego domu, czy drzwi jego kredensu są dwuskrzydłowe i czy czasami go zamykają w środku, a on mi powiedział, że tak, a te gwiazdki są takie małe, że jeśli rodzice długo nie wracają, to mu się robi słabo. Dusi się. Przez jedną z gwiazdek widział, jak dorośli wychodzą, a potem oglądał już tylko ścianę, wiszące garnki i popiół z paleniska. Rodzice wracali o poranku, krzycząc i wyśpiewując po ulicach, zasypiali na ziemi i robili nowe dzieciaki, a często zapominali otworzyć szafę i wydostawaliśmy się chorzy i z grzbietem bardziej obolałym niż wtedy, gdy nas okładali, żeby sobie poprawić humor. Bo wioska, mimo że pomalowana na różowo, nieraz bywała przepełniona żalością, czy to z powodu koni, czy więźnia, czy pana z pękniętego wzgórza o zboczu zarosłym dzikim winem, czy też z powodu Karamenów. Kiedy rodził się koń, też świętowali, ale wówczas nie zamykali nas w szafie z gwiazdkami, ani wtedy, kiedy zaczynały się parady strażników, a później zawody w biegu przed sobą samym. Powiadali, że gdy kiedyś któryś z mężczyzn sam siebie wyprzedzi w biegu, to tego dnia ten człowiek zdobędzie wszystko. Przed kolacją, po tańcach i wyścigach, jeden z mężczyzn, samotny i nagi, wchodził do rzeki przepływającej pod wioską i przemierzał ją, pilnując, żeby woda nie porwała głazów i na koniec nie wciągnęła całej wsi w dół. Ten mężczyzna nieraz wychodził z twarzą okaleczoną, a czasem zdartą.

Dzikię wino, które pięło się po urwisku aż do domu pana, umierało co roku. Wiatr je ogałacał i na każdym podwórku leżały kopy czerwonych liści. To jedyna rzecz,

jaką dostajemy od pana, powiadali, prócz dzieciaków, jak jeszcze był młody. Wszystkich chudzielców w wiosce spłodził pan. Kiedy na zboczu już nie było liści, chłopcy ładowali je w kosze i suszyli ułożone w stosy na Placu, a gdy je palili, pan wychylał głowę ze środkowego okna, które było wąskie i wysokie, i pokazywaliśmy mu język. A on patrzył bez ruchu, jakby był z kamienia. A kiedy przestawało dymić, zamykał okno i do zobaczenia za rok.

III

Nocą słyhać było pod łózkami jęk rzeki, jakby to ziemia jęczała zmuszona wszystko nieść razem z ukrytą wodą, która wpadała w nią gładka, a wypływała spieniona szaleństwem przez tę chwilę, którą musiała przeżyć w ciemności, uwięziona wśród skał i progów. Przed zaśnięciem mnóstwo myśli tłukło mi się mimo woli po głowie. Wspominałem swoją matkę, sztywną i chudą, z czerwonymi obwódkami wokół oczu. Biła dzieci. Obrzydziała młodym noc poślubną. Kiedy para rozpoczynała życie pod wspólnym dachem, ona spędzała noc, ujadając pod ich oknem jak pies. Nie cichła aż do pierwszych blasków poranka. Krzykami mojej matki nikt się nie przejmował; wyjaśniła, że matka jej matki robiła tak samo i że wszystkie kobiety z jej rodziny tak robiły. Skoro tylko nowożeńcy zamykali się u siebie, wypadała z domu jak błyskawica i, z kącikami ust rozdartymi od nadmiernego rozdziawienia, dalejże wrzeszczeć wniebogłosy. A jak matka już była nieżywa i zakopana, pierwszego dnia, kiedy moja macocha i mój ojciec spali ze sobą, ja, ale tylko ja, słyszałem krzyki matki pod oknem ojca aż do pierwszego brzasku.

Moja macocha miała bardzo białą skórę, jasne oczy, włosy blond i jedną rękę trochę mniejszą od drugiej. Przed zaśnięciem rozmyślałem o dłoni mojej macochy i o gwiazdce wyciętej w szafie. Myślałem o czerwonym pyłe Maraldiny, o tchnieniu dusz Karamenów i o wrzoscach, które zakwitały na fioletowo, gdy dni zaczynały się kurczyć. Myślałem o trudzie wydobywania worków, które raz po raz obijały się o ściany szybu, kiedy je wciągaliśmy w górę. Starzy z rzeźni zjawiali się w domu, gdy mój ojciec wychodził do pracy, a macocha mi mówiła, idź pomagać ojcu... Obracałem się, żeby popatrzeć na dom, i wydawało mi się, że zapada się w ziemię, cały objuczony gałęziami i liśćmi, i rozkwitłymi gronami glicynii, mnóstwem glicynii. Szedłem, kopiąc stopami pył i rzucając kamieniami w jaszczurki; jak już miałem dość, zanurzałem się w rzece z głową, żeby patrzeć na chwiejące się w wodzie trawy i nenufary.

Zafascynował mnie siarczany pyłek, za pomocą którego kwiaty się pobierają. Zalegał na wodzie w zakolu rzeki. Odrobina mgły usnęła i rozciągała się nad polnymi różami. Pomyślałem o domu pana, zwieńczonym dwiema wieżyczkami. Widziałem go z boku, z drogi, od dołu, z tej strony, gdzie nie było okien. I widziałem pana kasłającego, zjadającego konfitury – już nie miał zębów – i oczekującego, kiedy wreszcie rzeka pochłonie wioskę raz na zawsze. Od czasu do czasu dwóch mężczyzn tłukło dzikie wino długimi, mocnymi tyczkami, żeby obłamać pędy, które usiłowały wspiąć się na dom i zarosnąć okna

od strony urwiska. I za każdym razem, gdy któryś z tych ludzi uderzał tyczką i spadał deszcz łodyg i liści, pan wychylał głowę na zewnątrz i spoglądał w dół, opierając dłonie na parapecie środkowego okna.